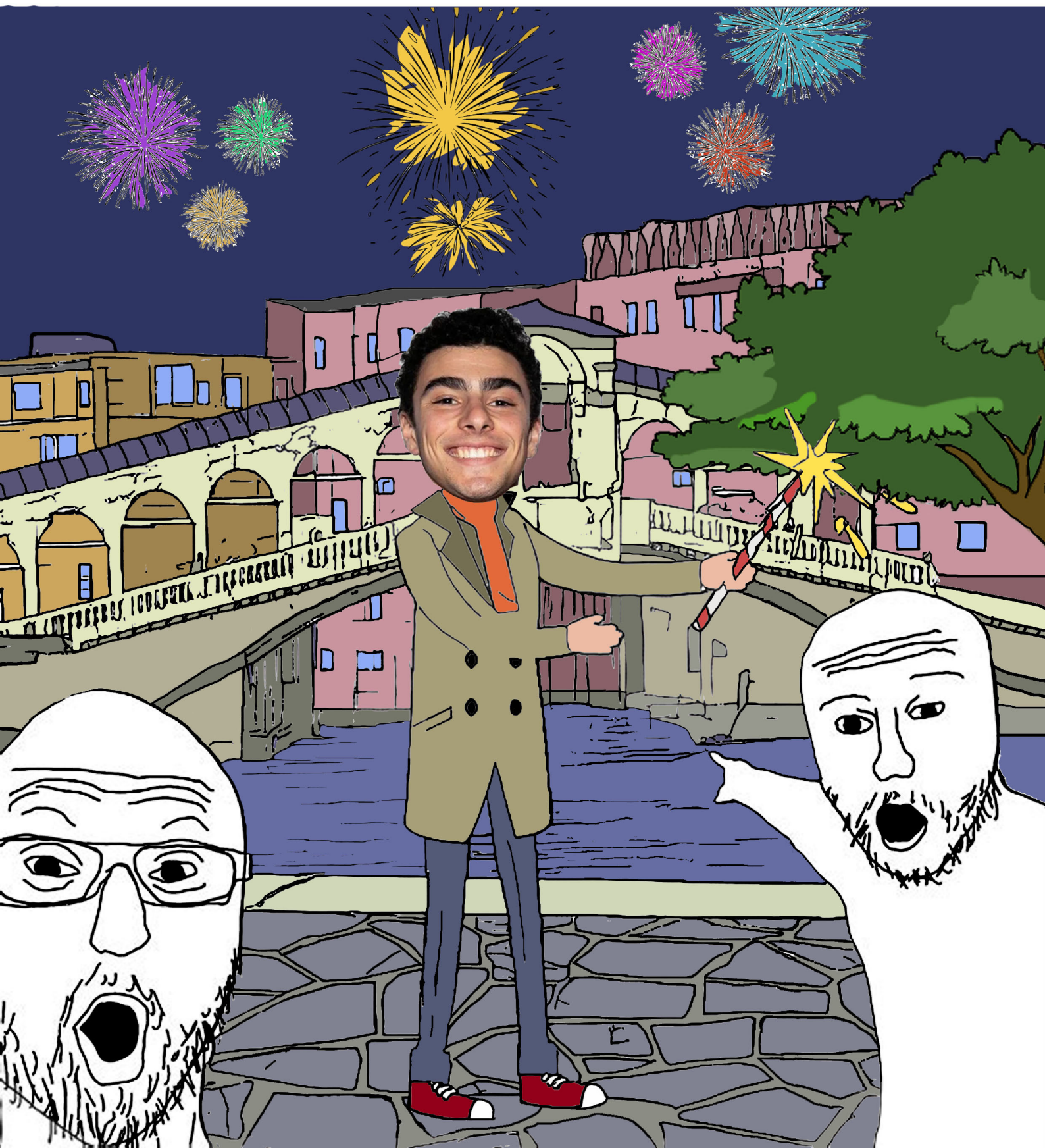


MARGINES

Styczeń 2025

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

NAKŁAD WŁASNY



W numerze:

- 2 Szlachetna solidarność, czy widmo komunizmu?
– pokłosie zabójstwa prezesa UHC
- 4 Konferencja, która zmieniła świat
- 4 Z AUTO do MANUALA
- 5 Czarna strona Hollywoodu
- 6 Wystaliśmy 15 uczniów do Hiszpanii. Czy sobie poradzili?
- 8 Nigdzie – to tam, gdzie nie ma Ciebie

Szlachetna solidarność, czy widmo komunizmu? – pokłosie zabójstwa prezesa UHC

Mateusz Pilzak

Morderstwo Briana Thomsona, głównodowodzącego UnitedHealthcare, wstrząsnęło Stanami Zjednoczonymi.

Ta przemyślana zbrodnia zdaje się, że utwierdziła Amerykanów w przekonaniu o istnieniu krwiożerczych elit, które bezlitośnie wykorzystują klasę robotniczą. Niektórzy publicyści pokusili się nawet o obwieszczenie ogólnokrajowego przebudzenia ludzi pracy oraz rzeczywistego powrotu walki klas w pełnej krasie. Jednakże, czy to jedno wydarzenie będzie miało wystarczającą moc, aby wyrwać ten kraj z kapitalistycznych szponów? A jeśli tak, to czy nie wepchnie go wprost w objęcia komunizmu?

Po przeczytaniu wielu krzykliwych nagłówek o zdarzeniu z czwartego grudnia, od razu rodzi się myśl: czym różni się to zabójstwo od około sześćdziesięciu innych, które codziennie mają miejsce w Stanach Zjednoczonych? To kontekst morderstwa rozwiewa wszelkie wątpliwości. Odkrycie motywów sprawcy i dokładnego przebiegu wydarzeń pozwala również przybliżyć się do odpowiedzi postawione wcześniej, niezwykle istotne pytania. Pytania, które z pewnością padają w siedzibach partii Demokratycznej i Republikańskiej, bo przecież to od poglądów klasy niskiej i średniej zależy dynamika oraz kierunek politycznych wydarzeń w USA.

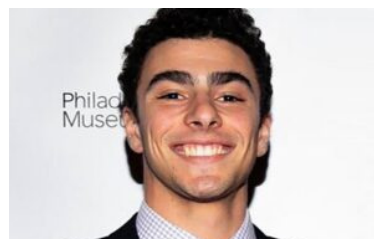
Owe dramatyczne wydarzenia miały miejsce w ciemny, grudniowy poranek. W pobliżu nowojorskiego hotelu Hilton padły trzy strzały.

Strzały, które dosięgnęły przechodzącego obok Briana Thompсона.

Atak ten, nie był przypadkowy, lecz od początku wymierzony w człowieka piastującego stanowisko dyrektora generalnego w UnitedHealthcare.

UHC, bo tak w skrócie brzmi nazwa tego przedsiębiorstwa, to firma ubezpieczeniowa oferująca szeroki zakres planów zdrowotnych dla osób przebywających na terenie Stanów Zjednoczonych. W USA nie istnieją powszechne i państwowe ubezpieczenia zdrowotne. W przeciwieństwie do nas, Europejczyków, każdy Amerykanin musi udać się do takiego ubezpieczyciela, uiścić miesięczną opłatę kilkuset dolarów, a następnie modlić się o zwrot środków, w przypadku ewentualnego pobytu w szpitalu. Nic bowiem, poza nadzieją, nie zostaje obywatelom państwa, w którym kapitalizm panoszy się nawet w systemie ubezpieczeń zdrowotnych. W takim układzie dobrobyt klientów ustępuje zyskom prywatnych firm.

Co ważne, w niechlubnym i nieoficjalnym rankingu odmówionych próśb o refundację kosztów hospitalizacji, UHC górowało nad innymi funduszami. Śmierć Thompсона, nie była, więc osobistą wendetą albo niefortunnym zbiegiem okoliczności, lecz ściśle zaplanowanym morderstwem o znaczeniu symbolicznym. Te trzy strzały, które padły z pistoletu-samoróbki, nie były głosem odosobnionego szaleńca, lecz krzykiem żałości uciemiężonych obywateli; a przynajmniej tak twierdzą publicyści o lewicowych i egalitarnych poglądach. Bo, co straszne, czyn ten i jego sprawca od razu stały się polem bitew polityczno-publicystycznych. Gazety utożsamiane z lewą stroną barykady, wyniosły rzekomego mordercę na ołtarze, natomiast te związane ze stroną prawą, określiły go mianem troglodyty i szaleńca zasługującego na potępienie. Natomiast sam domniemany sprawca wydaje się umykać klasycznemu podziałowi prawica–lewica.



Luigi Mangione, bo o nim mowa, z pewnością nie był człowiekiem niewykształconym. Ukończył z wyróżnieniem prywatną szkołę w Baltimore, a następnie uniwersytet w Pensylwanii (jako informatyk). Zdobyte tam doświadczenie wykorzystał w przygotowaniu zbrodni – broń, z której zastrzelił Thompсона, była wykonana przez niego samego, z użyciem maszyny CNC. Ponadto na łuskach wygrawerował hasła: „Delay”, „Deny” i „Defend”, które bezpośrednio nawiązują do książki opisującej patologie amerykańskiego systemu ubezpieczeń zdrowotnych. Motywy sprawcy częściowo możemy poznać dzięki manifestowi, który miał przy sobie. W nim Luigi przyznaje się do zbrodni, nazywa firmy ubezpieczeniowe pasożytami oraz twierdzi, że to co zrobił, musiało zostać wykonane. Zwraca uwagę na to, że USA wydaje najwięcej na służbę zdrowia ze wszystkich krajów świata, lecz nie wiąże się to z długością życia obywateli.

Gazeta Szkolna ZSŁ

Redakcja w składzie:

Grzegorz Majgier (red. naczelny),
Ignacy Horbał, Michał Dudnik (skład),
Franciszek Niwicki (korekta),
Maciej Brawurski (okładka),
Sylwia Mól, Mateusz Pilzak, Marcin Rębacz,
Konrad Szczepka

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl



W swoim testamencie utożsamia się z ludźmi niższych sfer, mimo że sam był raczej uprzywilejowany (miał zamożnych rodziców). Wydaje się wykazywać egalitaryzm w swoich poglądach, który jednak nie idzie w parze z ogólną lewicowością. Co ciekawe, interpretując konto Luigiiego na Twitterze (przez zbędnych modernistów zwanym Iksem), można dojść do wniosku, że Mangionemu bliżej było do prawicy. Szczególnie zwracał uwagę na wolność słowa. W niektórych swoich postach wyrażał aprobatę dla konkretnych działań Trumpa, co spowodowało, że niektórzy dziennikarze zaliczyli go do alt-right'u (czyli skrajnej prawicy). Jednakże nie uważam, żeby sam Luigi tak określił.

Jego profil odgrywa bardzo ciekawą rolę w misternym planie i warto się nad nim zatrzymać. Zabójca opublikował dokładnie 286 postów, a także jako tło na swoim koncie miał ustawione zdjęcie pewnego Pokemona, którego numer w „Pokedexie” wynosi #0286. Jak zauważyli niektórzy użytkownicy internetu, jeżeli potraktujemy te liczby jako biblijne sigła, a następnie spojrzymy na karty Księgi Przysłów, znajdziemy takie zdanie:

*Lepszy ubogi, postępujący bez zarzutu,
niż przewrotny o dwóch drogach, choć bogaty.*
(Prz 28, 6).

Cytat ten, doskonale wpisuje się w symbolikę czynu Luigiiego Mangione. Ponadto, świadczy on o niesamowitym przygotowaniu sprawcy i oddaniu sprawie. Implikuje też ponadprzeciętny intelekt mordercy, co zdaje się potwierdzać jego amatorska działalność naukowa – w wieku piętnastu lat napisał on dziewiętnasto stronicowy esej o rozwoju Chrześcijaństwa w Cesarstwie Rzymskim i jego zależności od niskich klas społecznych. Luigi, nawet jako nastolatek, świadomie zwracał uwagę na istotę prostego ludu w procesach zmieniających imperia i państwa. Już w młodym wieku bił z niego solidaryzm i egalitaryzm.

Tak jak wcześniej wspominałem, mord symboliczny, którego dokonał Luigi natychmiast został wzięty na tapet przez wszelakich publicystów i komentatorów internetowych. Na kanwie tego wydarzenia rozgorzała zjadła dyskusja między zwolennikami równości społecznej, a elitarystami. Choć z początku dyskurs zdawał się bazować na znanym, lecz niezbyt lubianym podziale prawica-lewica, to wraz z pojawieniem się młodych głosów wyłonił się konflikt „góry z dołem”, czyli odwołując się do nomenklatury Karola Marksa kolejno: burżuazji i proletariatu. Nie bez kozery powołuję się na tego filozofa, ponieważ hasła związane z komunizmem wybrzmiewały prawie od początku debaty o Mangionim. Przyczyniły się do tego czołowe figury prawicowej prasy i publicystyki w USA. Z ust takich osób i środowisk zaczęły wychodzić zdania, które obok słusznego (w opinii autora) potępienia morderstwa, zawierały absurdalną obronę (często przez atak na przeciwników) biznesu ubezpieczeniowego. W oczach przeciętnego czytelnika (bez znaczenia czy z prawej, czy lewej strony) takie słowa zabrzmiały jak apologia (mowa obronna) odklejonych panów z zadartymi nosami, kurczowo trzymających się elitarnego establishmentu.



Przez zacierzowanie i plemienną mentalność pravicowych dziennikarzy niezadowolenie społeczne w Stanach Zjednoczonych nagle wzrosło i nie wydaje się zatrzymywać. Hasła mówiące o świadomości klasowej i nieustannej walce bogatych z mniej zamożnymi, wyjęte wprost z „Manifestu Komunistycznego”, choć nie bezpodstawne, mogą doprowadzić do prawdziwej katastrofy.

Frazy mówiące o solidarności obywatelskiej, mają swoje uzasadnienie w patologicznym systemie ubezpieczeń zdrowotnych. Jednakże wątki rewolucyjne, które coraz częściej wybrzmiewają w dyskusji, prowadzą tylko i wyłącznie do większej anarchii. Trzeba więc uważać, aby potrzebne reformy, które z tego zamieszania wynikną, nie przeobraziły się w bezrozumny popęd do wprowadzania zmian. Zmian, które w pewnym momencie przestaną służyć ogółowi, a staną się narzędziem w rękach charyzmatycznej jednostki.

Dlatego tak istotna jest klasa niska i średnia. To w gestii „ludu” jest wymuszenie poprawy jakości opieki zdrowotnej, ale też ta sama grupa ma moc, aby oprzeć się wpływom skrajnych środowisk, którym zależy tylko na sianiu fermentu w (bardziej lub mniej) uporządkowanym państwie. Historia pokazuje, że jest to możliwe. Rewolucja Różańcowa na Filipinach, która w istocie rewolucją nie była, zdołała obalić dyktatora, a przy okazji nie pochłonąć kraju w chaosie. Tylko zdrowy rozsądek jest w stanie sprawić, aby z koszmarnego czynu Luigiiego Mangione wynikło coś dobrego — przemiana, która choć potrzebna, może się okazać szalenie niebezpieczna.

5				6				1
				5		4		2
1								5
4	5	7	6				2	
			5					
	2			3	1	6	5	7
		4			3		7	
	3		7	1	6			
6	7	8	2			3		

Konferencja, która zmieniła świat

Konrad Szczepka



Nadszedł styczeń - miesiąc, który zaczyna kolejny rok i jak zwykle z Nowym Rokiem snujemy plany, zastanawiamy się, co się zmieni. W tym artykule zamiast zaglądania w przyszłość zerknijmy wstecz, tak z 20 lat wstecz, i powspominajmy. Zdarzyło się wtedy coś, co odmieniło losy techniki i diametralnie zmieniło tor jej rozwoju.

Cofnijmy się więc do 9 stycznia 2007 roku, kiedy to odbyła się „Macworld Conference & Expo” - wydarzenie poświęcone produktom firmy Apple, a w szczególności Macom. Konferencje te prowadził wtedy Steve Jobs - wygłaszał tzw. keynotes, czyli prezentacje wszelkich nowości i innowacji Apple. Keynotes Apple w tamtych czasach szczególnie wiązały się z wielkimi emocjami, były znane i rozpoznawalne na całym świecie ze względu na ich prostotę, sposób przeprowadzania i demonstrowanie nowości i funkcji na żywo. Jednakże tym razem był to moment wręcz przełomowy dla całej historii techniki. To właśnie wtedy Steve Jobs zaprezentował pierwszego iPhone'a, czyli wynalazek, który pozwolił pomieścić w jednym urządzeniu wiele innych. Na początku konferencji Jobs zaczął mówić o trzech różnych urządzeniach: nowy Ipod z dotykowym ekranem, rewolucyjny telefon oraz komunikator internetowy. Powiedział wtedy ważne zdania, które zaskoczyły wszystkich na sali: "These are not three separate devices. This is one device. And we are calling it iPhone." ("To nie są trzy osobne urządzenia. To jest jedno urządzenie. I nazywamy go Iphone.")

Urządzenie to miało ekran dotykowy, została całkowicie wyeliminowana fizyczna klawiatura. Użytkownik w dodatku nie musiał korzystać z rysika - do obsługi Iphone używało się wyłącznie swoich palców. Nowy produkt Apple, nazywany był przez Jobsa smartfonem, miał w sobie łączyć telefon, dostęp do Internetu oraz możliwość mailowania. Nie tylko zrewolucjonizował sposób tworzenia nowych telefonów, spopularyzował on także stały dostęp do Internetu, co wpłynęło na rozwój mediów społecznościowych oraz wszelkich usług internetowych. Iphone niewątpliwie spopularyzował technologie (Technologię w ogóle? Czy chodzi raczej o technologie dotykowe i sposób tworzenia ui do urządzeń mobilnych) i był dostępny dla szerokiego grona użytkowników, oferując im duży zakres funkcji. Tamto wydarzenie miało wpływ zarówno na wiele firm i przedsiębiorstw, które musiały nadążyć za innowacjami Apple, jak i na życie zwykłego człowieka.

Konferencja zmieniła znacząco nasze nawyki i przyzwyczajenia jak i spowodowała rozwój i narodziny wielu firm.

Stało się to, co powiedział Steve Jobs wtedy podczas przełomowej konferencji: "Today, Apple is going to reinvent the phone." ("Dzisiaj Apple zamierza wymyślić telefon na nowo"). Po konferencji akcje Apple poszybowały w górę, a parę lat później zmieniono nazwę z Apple Computer Inc., na Apple Inc. Spróbujmy sobie wyobrazić choćby tydzień życia w obecnych czasach bez takiego telefonu... Steve Jobs niestety zmarł 5.10.2011 z powodu raka trzustki. Ostatnim Iphonem, który prezentował, był model 4S. Było to zaledwie dzień przed śmiercią Jobsa. Teraz możemy być tylko ciekawi tego, co jeszcze mógłby zrewolucjonizować. A może w tym nowym roku dokona tego ktoś inny...

Z AUTO do MANUALa

Marcin Rębacz

Czy wróciłeś kiedyś z wakacji z setkami zdjęć, z których tylko nieliczne spełniały twoje oczekiwania? Najprawdopodobniej tak. Jednak nie warto się zniechęcać, ponieważ wystarczy odrobina podstaw i twoje kolejne zdjęcia nabiorą życia. Wielu z nas korzysta od czasu do czasu z aparatu, aby zatrzymać jakiś obraz na dłużej - czy to podczas wycieczki, urodzin czy innej okazji. Jedni korzystają z aparatów w telefonie, a inni z tych bardziej profesjonalnych. Te profesjonalne aparaty jak i tryb PRO w telefonie potrafią czasem przytłoczyć użytkownika ilością funkcji, przez co duża część osób decyduje się na użycie trybu AUTO. Ten tryb samodzielnie dobiera najważniejsze parametry, takie jak przysłona, czas naświetlania i ISO. Tryb AUTO jest wybierany głównie przez swoją prostotę - wykonuje za nas dużą część pracy, ale jednocześnie pozbawia nas kontroli nad ostatecznym wyglądem zdjęć i w efekcie niektóre z nich mogą wyglądać inaczej niż byśmy tego chcieli. I choć te wszystkie pozornie dziwne parametry pojawiające się w trybach manualnych/półautomatycznych mogą wyglądać przerażająco - tak naprawdę są proste do zrozumienia. Sam na początku miałem kłopot z przekonaniem się do odejścia od wygody, bo przecież aparat robi większość za mnie, nie trzeba się męczyć, a jedynie naciskać przycisk migawki. Jednak od momentu, gdy zacząłem wykorzystywać tryby manualne i półautomatyczne (w tym mój ulubiony z preselekcją przysłony - Av), fotografia zaczęła mi sprawiać więcej przyjemności, a moje zdjęcia znacząco się poprawiły.

Przysłona, czas naświetlania i ISO są ze sobą ściśle powiązane i wspólnie kontrolują ekspozycję zdjęcia, tworząc tzw. trójkąt ekspozycji. Robiąc zdjęcia, ważne jest, aby zachować poprawną ekspozycję (co robi za nas tryb auto), ale jeszcze ważniejsze jest to, jak tę ekspozycję uzyskamy. Pojęcie ekspozycji dokładniej wytłumaczę w następnym artykule.

Fotografując w trybie manualnym lub półautomatycznym, możemy świadomie wpływać na poszczególne parametry zdjęcia i uzyskać lepsze rozmycie tła, zamrożenie ruchu albo ostre zdjęcia w ciemnym pomieszczeniu. Zanim jednak przejdę do wytłumaczenia działania tych parametrów, chciałbym wyjaśnić, czym są tryby półautomatyczne, bo dla niektórych może być to nowość.

Najczęściej w aparatach profesjonalnych (lustrzankach i bezlusterkowcach) można znaleźć w menu wyboru trybu skróty Av (A) i Tv (S). Skróty te oznaczają preselekcje jednego z parametrów. Przykładowo, jeśli ISO ustawiliśmy na AUTO i wybierzemy tryb Av (A) – preselekcje przysłony, możemy manualnie ustawić wartość przysłony, a czas otwarcia migawki i ISO zostaną automatycznie dostosowane tak, aby ekspozycja była prawidłowa. W trybie Tv (S) jest na odwrót, ustawiamy czas otwarcia migawki, a przysłona i ISO zostaną wybrane automatycznie. Teraz możemy przejść do tego, czym tak właściwie są te parametry.

Zacznijmy od przysłony. Jest to mechaniczny element w obiektywie, który kontroluje ilość światła wpadającą do aparatu. Wielkość otworu przysłony jest wyrażana wartością f-stop (np. f/1.8, f/5.6). Im większy numer przysłony (np. f/16), tym mniejszy otwór i mniej światła dostaje się do aparatu, co skutkuje ciemniejszym zdjęciem (o ile nie zmienimy dwóch pozostałych parametrów) i większą głębią ostrości – więcej elementów na zdjęciu będzie wyraźnych. Z kolei mała wartość przysłony (np. f/1.8) oznacza duży otwór, który przepuszcza więcej światła, co pozwala rozjaśnić zdjęcie oraz uzyskać efektowne rozmycie tła, zwane "bokeh". Tu też ciekawostka: istnieje także drugie słowo "przesłona" – które jest poprawne słownikowo, jednak większość specjalistów nie uznaje go za poprawną formę, ponieważ element w aparacie, o którym mowa, przysłania, a nie przesłania.

Kolejnym głównym parametrem jest czas otwarcia migawki, czyli czas naświetlania. Migawka to mechanizm w aparacie, który otwiera się na określony czas, pozwalając światłu dotrzeć na matrycę (lub film) aparatu. Długość tego czasu wpływa na to, ile światła zostanie zarejestrowane przez aparat oraz jak uchwycone zostaną poruszające się obiekty. Czas naświetlania mierzymy w ułamkach sekundy, np. 1/1000 sekundy (bardzo krótki czas) lub w sekundach (np. 1 sekunda – długi czas). Krótki czas naświetlania pozwala zamrozić ruch, co jest przydatne przy fotografowaniu dynamicznych scen, jak lecące ptaki, piłkarze biegnący na boisku czy szybko poruszający się samochód. Natomiast długi czas naświetlania sprawia, że do aparatu wpada więcej światła i cały proces jest dłuższy, co skutkuje rozmyciem poruszających się obiektów. Używając długiego czasu naświetlania (powyżej 1s), aparat powinniśmy pozostawić w bezruchu podczas wykonywania zdjęcia, do tego można użyć statywu lub stabilnej powierzchni. Stabilne ręce tutaj już nie wystarczą.

Ostatnim z trzech głównych parametrów jest ISO, czyli czułość matrycy na światło. ISO określa jak wrażliwa na światło jest matryca aparatu – im wyższa wartość ISO, tym bardziej czuła matryca, co pozwala robić jaśniejsze zdjęcia w słabych warunkach oświetleniowych, takich jak noc czy pomieszczenia bez dobrego oświetlenia. Standardowe wartości ISO to np. 100, 200, 400, ale mogą one sięgać nawet setek tysięcy (choć wszystko powyżej ISO 25600 jest ZAZWYCZAJ bezużyteczne ze względu na ilość szumów). Niskie ISO (np. 100-200) jest idealne w dobrym świetle dziennym, gdy nie potrzebujemy dodatkowej czułości.

Wysokie ISO (np. 1600 i więcej) sprawdza się w ciemniejszych miejscach, ale trzeba pamiętać, że używając wyższego ISO, aby wyrównać ekspozycję, otrzymamy więcej szumów na naszym zdjęciu – małych, kolorowych lub szarych plamek, które mogą negatywnie wpłynąć na jakość zdjęcia.

Po poznaniu teorii zostało tylko wziąć aparat i poeksperymentować z tymi ustawieniami, aby lepiej je zrozumieć. Znajomość tych podstaw otwiera to przed nami drogę do wielu ciekawych i nietypowych zastosowań – dokładniej o nich dowiecie się w następnych numerach "Marginesu" :)

Czarna strona Hollywoodu

Sylvia Mól

Follow the Yellow Brick Road. Follow the Yellow Brick Road.

Follow, follow, follow, follow,

Follow the rainbow over the stream, follow the fella who follows a dream, follow, follow, follow, follow, follow, follow the yellow brick road.

We're off to see the Wizard, The Wonderful Wizard of Oz. he really is a whiz of a Wiz! If ever a Wiz of a Wiz there was The Wizard of Oz is one because, Because, because, because, because, because.

Because of the wonderful things he does.

We're off to see the Wizard. The Wonderful Wizard of Oz

Jest to tekst piosenki z kultowego filmu "Czarnoksiężnik z krainy Oz" wyreżyserowanego w 1939 r. przez Victora Fleminga, na podstawie książki autorstwa L. Franka Bauma z 1900 r. Od prawie stu lat cieszy się on ogromną popularnością. Doczekał się licznych przeróbek, odwołań w serialach oraz nawet oddzielnych filmów opartych na głównych postaciach oryginalnej wersji. Przykładem jednego z nich jest popularny w ostatnim czasie "Wicked". Dzięki niemu w Internecie znów zrobiło się głośno na temat pierwotnej ekranizacji. Większości ludzi kojarzy się ona bardzo pozytywnie; Mała Dorotka trafia do magicznej krainy, gdzie spotyka nowych przyjaciół, którzy pomagają jej dotrzeć do władcy Oz, aby wrócić do domu. Nie wszyscy jednak wiedzą, co działo się poza kulisami.

Niestety prawda dotycząca nagrywania tego filmu jest bardzo przerażająca, a za razem przynębiająca. Wielu aktorów podczas kręcenia ucierpiało fizycznie. Zaczynając od samego początku: już 2 tygodnie po rozpoczęciu nagrywek zaczęły pojawiać się problemy. Buddy Ebsen to aktor, który pierwotnie został obsadzony w roli blaszanego drwala. Jego przygoda z nagrywaniem tego filmu zakończyła się jednak bardzo szybko. Do jego charakterystyki użyto sporych ilości czystego pyłu aluminiowego, aby osiągnąć efekt metalicznej skóry. W wyniku tego zatrut się tą substancją, która osadziła się na jego płucach. Zaistniała sytuacja zmusiła go do opuszczenia planu filmowego oraz do długiego pobytu w szpitalu. Podczas dalszego nagrywania zastąpił go Jack Haley.

Natym nie kończą się powikłania zdrowotne związane z kostiumami aktorów. Bert Larth, grający tchórzliwego lwa, również borykał się ze swoim strojem. Był on stworzony z prawdziwej skóry z dwóch lwów, przez co noszenie go było bardzo uciążliwe. Nie mógł w nim jeść, więc przez wiele godzin na planie musiał się głodzić. Nie mogę pominąć również tego, że przebranie ważyło prawie 100 funtów, czyli około 45 kg oraz było w nim bardzo gorąco. Gdy pod koniec dnia ekipa filmowa ściągała kostiumy, Beth Lary zawsze wręcz ociekał potem. Wszystko to doprowadzało do mocnego osłabienia aktora. Na szczęście w jego przypadku nie doszło w konsekwencji tego do większych problemów zdrowotnych.

Jednym ze skandali, który wywołał dużą aferę, był materiał użyty do stworzenia śniegu podczas sceny na polu z makami, był to azbest, który jest bardzo szkodliwy dla ludzkich płuc. Aktorzy podczas nagrywania tej sceny byli nim cali pokryci.

Nie mogło tu zabraknąć oczywiście incydentu Złej Czarownicy z Zachodu. Podczas jednej ze scen, usiłowali otrzymać efekt znikania w płomieniach. Niestety ogień został włączony zbyt wcześnie, przez co Margaret Hamilton - aktorka grająca wiedźmę - doznała poparzenia II stopnia.

Osobą, która natomiast przeżyła według mnie najwięcej na planie, była Judy Garland, czyli aktorka grająca główną postać - Dorotkę. Od małego miała ona problemy z nadwagą, więc rodzice podawali jej tabletki z amfetaminą, które miały powstrzymać jej głód i dać jej energię do pracy. Wszystko w jej życiu jednak zmieniło się w wieku 17 lat, gdy została przyjęta do roli Dorotki. Jedynym problemem było to, że Judy miała już sylwetkę młodej kobiety, która nie wpasowywała się w standardy owej postaci. Hollywoodzcy charakteryzatorzy znaleźli jednak na to rozwiązanie. Ubrali ją w gorset spłaszczający jej krągłości oraz zmusili do diety składającej się tylko z czarnej kawy oraz papierosów. Po pierwszym dniu w gorsecie ciało Garland było całe obolałe oraz w krwawych ranach. Na tym nie kończą się problemy, z którymi borykała się młoda aktorka. Reżyser wyżywał się na niej psychicznie, a nieraz nawet fizycznie. Podczas kręcenia jednej ze scen została przez niego uderzona w twarz zniszczeniem sceny zaśmianiem się. Był również dużo innych pogłosek na temat traktowania na planie, natomiast są one niepotwierdzone. Podsumowując, należy stwierdzić, że aktorzy mimo uczestnictwa w tworzeniu arcydzieła kinematografii oraz jednego z najbardziej kultowych filmów w historii bardzo cierpieli i poświęcali się dla naszej przyjemności z oglądania go.



Wysłaliśmy 15 uczniów do Hiszpanii. Czy sobie poradzili?

Grzegorz Majgier

Stało się! Pierwszego dnia grudnia, zostawiając w tyle chłodną, polską zimę, piętnastu uczniów i dwóch nauczycieli z Zespołu Szkół Łączności wyruszyło w podróż do słonecznej Hiszpanii - a bardziej precyzyjnie, Malagi, przybrzeżnego miasta liczącego prawie 600 tys. mieszkańców.

Spod budynku internatu wyruszyliśmy busem do Wrocławia, z którego łapaliśmy lot bezpośrednio do celu naszej podróży. Wieczorem przybyliśmy do Churriany - dzielnicy Malagi, w której mieściła się nasza rezydencja. Churriana, wraz z Centralną, jest najstarszą dzielnicą Malagi.

Już następnego dnia wyruszyliśmy obejrzeć firmy, w których odbędziemy trzytygodniową praktykę. Po Maladzie poruszaliśmy się komunikacją miejską, od przystanku autobusowego dzieliło nas zaledwie kilkanaście metrów - szczególnie przydatne, kiedy wybiega się o godzinie 7:01, by zdążyć na autobus, który ma przyjechać o 7:00. Podróż do centrum miasta zajmowała nam około godziny w jedną stronę. Malaga, chociaż w porównaniu do Krakowa ma mniej mieszkańców, zajmuje większy obszar - o ponad 20% i właśnie w trakcie podróży komunikacją dało się to odczuć.

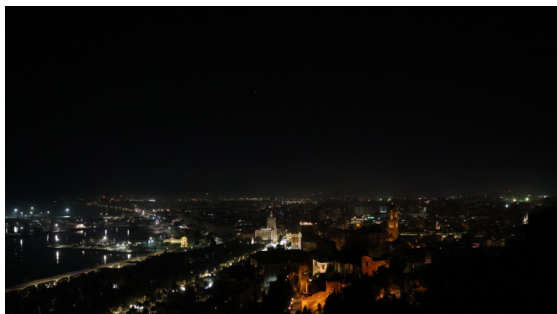
Malaga

Już pierwszego dnia mogliśmy oswoić się z Malagą. Mieliśmy okazję zobaczyć najważniejsze punkty w centrum miasta. Szczególnie urzekła mnie pięknie oświetlona w okresie świątecznym Alameda Principal - jedna z głównych ulic Malagi, monumentalna i pięknie zdobiona Katedra Wcielenia, a także Castillo de Gibralfaro. Wzięliśmy także udział w rejsie katamaranem, z którego obejrzeliliśmy zachód słońca.



Malaga nocą zachwyca - naprawdę. Mieliśmy sporo szczęścia, bo odwiedzając to miasto w okresie świątecznym, ma się okazję zobaczyć Luces Navideñas - pokaz światel w jednej z najbardziej reprezentatywnych ulic miasta, Larios, któremu towarzyszy muzyka i gwar rozmów zebranych (a ludzi w godzinach pokazu zbiera się tam naprawdę sporo).

Jedną z takich małych rzeczy, na którą pewnie mieszkańcy Malagi nie zwracają zbyt dużo uwagi, było to, że na prawie każdej ulicy rosną drzewa pomarańczy. Dodawało to uroku zarówno kolorowym domom w Churriani, jak i kamienicom w centrum miasta.



W weekendy mieliśmy okazję poznać część Andaluzji - dzięki wycieczkom, które zorganizowaliśmy sami i tymi zapewnionym przez organizację, która przyjęła nas w Maladze.

Marbella

W pierwszą sobotę, z samego rana, pobudzeni przez churrosy zakupione w budce obok naszej rezydencji, wyruszyliśmy autobusem do Marbelli. Marbella to miasto portowe, położone 40 kilometrów od Malagi. Przechadzając się uliczkami starszej części miasta, mieliśmy okazję zobaczyć ślub - tłumy odświętnie ubranych ludzi zbierały się przed Iglesia de Nuestra Señora de la Encarnación.

Marbella była piękna i spokojna - wąskie uliczki, przez które prześwitywały górskie panoramy, otwierały się na place porośnięte drzewami pomarańczy, między którymi siedzieli klienci licznych kawiarenek i restauracji. Miejsce bardzo przyjemne dla oka, każda uliczka mieniła się kolorami, dzięki kwiatom, mozaikom na ścianach budynków i, przede wszystkim, ludziom.



Po zwiedzaniu poszliśmy na plażę - tak, na plażę. Kiedy w grudniu w Polsce w szczodrych przyprawach ciepła temperatura osiągała najwyżej kilka stopni, w Marbelli cieszyliśmy się słońcem nad głowami i 20 stopniami, które pozwalały nam na kąpiel w morzu, a nawet małe opalanie.



Grenada i Nerja

Choć jeśli chodzi o grafik, nasza wycieczka do Grenady przypominała tę do Marbelli, miasta wydawały mi się zupełnie różne. Marbella jest miastem portowym - Grenada, można powiedzieć, jest miastem górskim - wyrasta u stóp wzniesień Sierra Nevada, najwyższego pasma górskiego półwyspu iberyjskiego. Dało się to zauważyć, spacerując po starym mieście - różnice wysokości były niemałe.

Grenada to miasto z niezwykle barwną historią. Założone w 711 roku przez Arabów, pozostało pod ich władaniem przez prawie 800 lat. W tym czasie powstał tam chociażby kompleks pałaców Alhambra, który jest drugą największą atrakcją turystyczną Hiszpanii.



W drodze powrotnej z Grenady zatrzymaliśmy się, aby zobaczyć Nerję - niewielkie, portowe miasteczko, w którym naszym głównym punktem odwiedzin był plac noszący dumną nazwę Plaza Balcon De Europa, zbudowany na dawnej twierdzy i magazynie broni.

Caminito del Rey

Jeśli miałbym wybrać jedno miejsce, które chciałbym zobaczyć po tym wyjeździe jeszcze raz - byłby to szlak Caminito del Rey. Choć trasa ta została uformowana, by ułatwić transport materiałów i umożliwić konserwatorom dostęp do pobliskiej elektrowni wodnej - dzisiaj jest odwiedzana przez ponad trzysta tysięcy osób rocznie.

Wycieczkę rozpoczęliśmy na stacji kolejowej w Maladze - stamtąd pojechaliśmy pociągiem nieco ponad godzinę, by wysiąść na małej stacji kolejowej u stóp złocistych klifów. Jeszcze krótka przejażdżka autokarem, półgodzinny spacer - dotarliśmy do początku trasy, gdzie pod opiekę wziął nas bardzo przyjazny przewodnik, na samym wstępie wręczając nam kaski - bo BHP to bardzo ważna sprawa :-)

Szlak był przepiękny. Podwieszane kładki prowadziły nas przez wyrwy między skalnymi ścianami, sięgającymi kilkadziesiąt metrów ponad nasze głowy (oczywiście przyozdobione kaskami, bo BHP to bardzo ważna sprawa). Z takiego skalnego korytarza wyszliśmy na ścieżkę prowadzącą przez dolinę otoczoną klifami, przez którą przebiega trasa kolejowa.



Bez cienia wahania można określić to miejsce "zapierającym dech w piersiach". Przez niemalże całość siedmiokilometrowej trasy, około 70% (dane czekają na potwierdzenie Głównego Urzędu Statystycznego - przyp. red.) dźwięków wydawanych przez uczestników naszej eskapady ograniczało się do samogłosek wyrażających zachwyt.



Drobne rzeczy

Chociaż to właśnie wymienione wyżej wycieczki stanowią najważniejsze momenty takich wyjazdów, nie byłby on tak przyjemny, gdyby nie drobne rzeczy, które łatwo przeoczyć.

Nasz wyjazd nie byłby tym samym, gdyby nie atmosfera panująca w naszej rezydencji - cisza nocna wydawała się zawsze przychodzić zbyt wcześnie, zawsze można było z kimś porozmawiać, wyjść z kimś na małą wycieczkę po mieście, zagrać w karty, zagrać w karty czy zagrać w karty. Mieliliśmy okazję poznać się lepiej, bo choć widywaliśmy się wcześniej w murach szkoły, z wieloma osobami nie mieliśmy czasu tego wyjazdu okazji nawet porozmawiać. Gdyby nie atmosfera, z pewnością nie byłoby tak samo.

Ta prawie miesięczna wycieczka zostanie nam w pamięci na bardzo długo. Chciałbym podziękować wszystkim, którzy sprawili, że była ona możliwa, w szczególności Dyrekcji, która organizowała wyjazd i wspierała nas w czasie jego trwania z Krakowa, Panu Piotrowi Piekarskiemu, który wraz z dyrekcją poleciał do Malagi na spotkanie koordynacyjne przed naszą wyprawą oraz Panu Łukaszowi Blitkowi i Panu Krzysztofowi Szareckiemu, którzy służyli nam pomocą na miejscu.



Nigdzie to tam, gdzie nie ma Ciebie

Grzegorz Majgier

Nigdzie to tam, gdzie nie ma Ciebie
Już Ciebie nie ma.
Na stole stoi filiżanka
Nie umyję jej, nie sprzątnę,
Nawet palcem jej nie dotknę.

Oglądam ją jak dzieło sztuki,
choć to tania porcelana,
lecz oddałbym za nią wiele,
bo w twoje dłonie była ubrana.

I ten fotel, w którym zasypiałeś,
w gęste jak miód sierpniowe powietrze
- nie mogłem cię zbudzić, mimo że chciałeś.
Jak przymknę oczy, to widzę cię jeszcze.

Szukam spragniony twoich słów
- pióro, kałamarz i morze bieli.
Lecz siewcy atramentowych snów
oddać mi ciebie dzisiaj nie chcieli.

Twoja harfa próchnieje z tęsknoty.
Jej struny schną i więdną.
I błagam o piosenkę choć jedną,
by przerwała ciszy szyk złoty.

To tak, jakbyś każdy najmniejszy kąt,
każde, puste pomieszczenie
jeszcze zanim uciekłeś stąd
umalował własnym cieniem.

Wszędzie był twój chaos.
Każdy przedmiot w kształt go dostał,
Lecz dlaczego, gdy cię nie ma
Chaos ten pozostał?

A ja? - Utknąłem nigdzie.
Nigdzie to tam, gdzie nie ma Ciebie.
I choć czuję, że twoje tchnienie
jeszcze we mnie płynie
- to minie.

Zastonię okna, świece pogaszę
Zawołam ciebie ostatni raz
I poczekam do świtu, aż wszystko, co nasze
Ciepłoty w swe dłonie odbierze czas.